Cena 10 hal.

PRAWO LUDU

TYGODNIK ILUSTROWANY.

ORGAN POLSKIEJ PARTYI SOCYALNO-DEMOKRATYCZNEJ. ▫ WYCHODZI W KAŻDY PIĄTEK.

REDAKTOR NACZELNY I WYDAWCA: ZYGMUNT KLEMENSIEWICZ, POSEŁ DO RADY PAŃSTWA.

Nr. 37. Kraków, dnia 13 września 1912 r. Rok XV.

Szlachta żyje kosztem ludu!

Jak dalece austryacki system podatkowy uprzywilejował szlachtę, świadczą następujące cyfry.

Porównajmy mianowicie, co szlachta płaci na rzecz państwa, a co od niego bierze.

Szlachta w Galicyi płaci ogółem bezpośrednich podatków 4,368.621 K, natomiast najbogatsi szlachcice, książęta i hrabiowie, którzy mają gorzelnie, otrzymują od państwa 15 milionów koron, czyli, że **dopłacamy szlachcie galicyjskiej przeszło 10 milionów koron!**

Nietylko więc, że szlachta galicyjska nie płaci ani halerza podatku na rzecz państwa, lecz jeszcze bierze z pieniędzy podatkowych zasiłek przeszło 10 milionów koron.

Cyfry te są strasznie podburzające, gdyż wykazują straszną krzywdę, jaka dzieje się ludowi, który składa haracz podatkowy nietylko na rzecz państwa, ale i szlachty.

Ponieważ podatki bezpośrednie chłopów w Galicyi wynoszą 14,559.778 koron, przeto lwią ich część, bo 10 milionów koron zabiera zaraz szlachta w postaci nagród za pędzenie wódki!

Jeżeli nawet dodamy podatki krajowe, to się przekonamy, że **podatki państwowe i krajowe szlachty nie stanowią**

połowy tego, co szlachta zabiera w bonifikacyach wódczanych!!!

Takie bezprawie nie może być tolerowane. Jeżeli ta krzywda ludowa dotąd nie została zniesiona, to winni są temu ludowcy, którzy przez wyjście za drzwi obalili wnioski socyalistyczne o zniesienie bonifikacyj wódczanych.

Nie możemy dłużej patrzeć spokojnie, jak się sekwestruje ostatnią krowę chłopu za podatek, który nazajutrz zabiera szlachecki gorzelnik.

Z cyfr powyższych widać, że

szlachta uwolniona jest nietylko od podatków na rzecz państwa i kraju, lecz jeszcze pobiera kilka milionów koron z podatków chłopskich.

Szlachta więc umiała wyzyskać swe rządy w państwie i uwolniła się od wszelkich ciężarów na rzecz państwa i kraju.

Ponieważ zaś szlacheckie posiadłości tworzą oddzielne od gminy jednostki administracyjne, tzw. obszary dworskie, stojące na równi z gminą, przeto

szlachta uwolniona jest także od podatków gminnych.

A wiadomo wszystkim, że właśnie podatki gminne wykazują największy wzrost, gdyż przenoszą kilka razy podatki państwowe.

Zaraz po zebraniu się parlamentu na porządek dzienny wypłynie sprawa nowych podatków.

Musimy wtedy zażądać

zniesienia bonifikacyj wódczanych oraz podwyższenia podatków szlachcie.

Dziś bowiem szlachta płaci śmiesznie małe podatki, które nie stoją w żadnym stosunku do zamożności i bogactwa szlachty.

Wedle urzędowego zestawienia szlachta w Galicyi ma 2,916.630 hektarów ziemi i płaci 4,368.521 K wszystkich bezpośrednich podatków czyli, że

hektar szlacheckiej ziemi płaci 1·19 K podatku!!!

Wyraźnie musimy tu zaznaczyć, że w tej 1·19 K mieści się nietylko podatek gruntowy, lecz wszystkie podatki bezpośrednie a więc: domowy, osobisto-dochodowy, zarobkowy i rentowy.

Widzimy, że szlachta płaci niskie podatki, jak barszcz.

Chłop samego podatku gruntowego nie od hektara, ale od morgi płaci

kilka razy więcej!

Przeciętnie płacą chłopi od morga po 5, 6 i więcej koron.

Zadaniem naszem musi być zmienić to w ten sposób, żeby było przeciwnie, żeby chłop płacił niskie podatki, a szlachcic wysokie.

Da się to teraz zrobić przy rewizyi katastru gruntowego, która powinna się tego roku odbyć.

Rząd w interesie szlachty nie chce jej przeprowadzić, a jego lokaje ludowcy milczą o tem pokornie.

Dlatego też musimy domagać się energicznie przeprowadzenia rewizyi katastru gruntowego i

zniżenia podatków chłopskich!

Aby to dało się zrobić, muszą chłopi jednoczyć się pod sztandarem socyalistycznym, bo ludowcy zaprzedali się zupełnie rządowi i szlachcie i o tej sprawie boją się choćby słówkiem pisnąć.

Jedynie socyalna demokracya jest obrońcą chłopów.

Za zniesieniem „Jura stolae".

Głosy czytelników „Prawa Ludu".

Pochodzę z domu, w którym tradycye religijne były ściśle zachowywane, a sam byłem wychowany po arcykatolicku, mimo to klerykałem nie jestem, a uświadomienie moje zawdzięczam właśnie księżom.

Już w gimnazyum katecheta ks. Zuzak, mimo, iż byłem bardzo pobożny, dał mi się we znaki, a gdy mój kolega Studziński nawet nie wiedział za co Marya z Magdali świętą została, mimo to ksiądz Zuzak głaskał go pod brodę, bo to był przecież syn starosty — mnie zaś postarał się o wyrzucenie z gimnazyum, przedtem zaś nakazywał mi przychodzić do siebie na „czarną kawę" i znęcał się nademną trzciną.

Później, gdy jako młodzieniec, będąc daleko na obczyźnie, zwróciłem się do księdza katolickiego w polskim języku o pomoc i radę, bo byłem bez środków do życia wśród obcych, to mi kazał wyjść za drzwi, bo on Polaków nie cierpi (nawiasem mówiąc był sam Polakiem-renegatem).

Rozumie się, że tak jaskrawo okazywana mi miłość bliźniego przez katolickich kapłanów, dała mi wiele do myślenia.

Nie będę tu przytaczał całego szeregu różnych szczegółów, które w tym kierunku zauważyłem, muszę jednak nadmienić, że najwięcej przykrości i trudności miałem przy ślubie.

Najsamprzód idyotyczne egzaminowanie mnie i mej narzeczonej z katechizmu i to egzaminował mnie młokos wikary, o 12 lat odemnie młodszy, a w drugim pokoju przysłuchiwał się temu egzaminowi organista.

Gdyby nie to, że organista nas kontrolował, byłbym dał memu egzaminatorowi ze dwie korony i byłby się może odczepił, ale organista to przecież oko i ucho księżej gospodyni, od której ks. kanonik byłby się dowiedział o tem z odpowiednim dokładem i wikaryusz musiałby za to odpokutować.

Mimo, że zapowiedzi zapłaciłem tam, gdzie sam mieszkałem, **8** koron, tam, gdzie mieszkała narzeczona **8** koron, za ślub **30** koron za kartkę w kancelaryi biskupiej, by ślub mógł się odbyć wieczór, 2 korony, mimo, że musiałem w ten sposób zeznawać przy spowiedzi, aby dostać rozgrzeszenie, za co z własnej woli za wydanie kartki dałem mu 2 korony, miałem po ślubie ze strony sług kościoła przeróżne trudności i nieprzyjemności, a to wszystko dlatego, że moja młoda żona stosując się do mego życzenia, wyłamała się z pod miejscowego zwyczaju i przy ślubie nie zaprosiła klechy na zabawę weselną.

Z początku gromy rzucane z ambony kościelnej robiły na mnie wrażenie, ale później stępiałem i stałem się więcej odporny, gdy mi ktoś z mych znajomych wyjaśnił, że to nie jest możliwem, aby Bóg mógł być tak okrutnym i mściwym, aby tego samego człowieka, którego stworzył, któremu z góry dał przeznaczenie, i o którym z góry wiedział, jak żyć będzie, by potem za to, co sam postanowił, tego człowieka po śmierci kazał brać na widły, wkładać do gorącej smoły i t. p. pastwił się nad nim.



Budowa „drapaczy nieba" w Ameryce. Robotnicy zakładają belki sufitowe na wysokości pięćdziesiątego piętra.

A gdy pewnego razu jakiś małomiasteczkowy tłusty kaznodzieja rzucał gromy na Andrzeja Niemojewskiego, jako kacerza, pierwszem mojem staraniem było uzyskać dzieła tego uczonego człowieka.

Po przeczytaniu „Boga Jezusa" i wielu innych dzieł przejrzałem zupełnie czyli wedle ewangelicznego wyrażenia, spadła mi łuska z oczu.

Mimo to, żyjąc w społeczeństwie arcykatolickiem, oddaję część swej wełny pastuchom i płacę za chrzest dziecka po 1 koronie, a że dzieci mam dużo, więc i koron trzeba było dużo zapłacić.

Za mało jest domagać się zniesienia *Jura stolae*, myśmy powinni się domagać przymusowej parcelacyi olbrzymich dóbr parafialnych i klasztornych.

Dawni, szlacheccy rozbijacze kupców, rebelizanci, zajeżdżacze zagród chłopskich, raubriterzy i t. p. łotrzykowie gromadzili, nurzając się w krwi bliźnich, olbrzymie dobra.

Przed śmiercią zastraszeni okropnościami piekła, oddawali swe łupy na „chwałę boską", a pobożni braciszkowie, idąc wedle pogańskiej zasady, że grosz zapłacony za zanieczyszczenie miejsca publicznego nie śmierdzi, przyjmowali dobro z rozboju pochodzące i do dziś je dzierżą, a biedny ogłupiony lud nie mając na czem pracować marnuje się na robotach u obcych.

Nie żądam, aby ci, co się mianują zastępcami Chrystusa dawali się krzyżować, nie żądam, aby pokrzywą pokusy od siebie odpędzali, ale stanowczo nie można się zgodzić na dalsze skubanie wełny z naszych grzbietów.

Trochę więcej ubóstwa uczyni was bardziej podobnymi do Mistrza, co zginął na krzyżu, a to jest przecież cel duchownej kapoty!

B.

Przywileje podatkowe.

III.

Dzierżawca podatku od mięsa rozpoczyna zawsze od tego, że z rzeźnikami przeprowadza specyalną ugodę.

Ugoda ta polega zwykle na tem, że rzeźnicy zobowiązują się płacić podatek jednakowo od wielkich sztuk, jak też od małych i gdy np. podatek od cielęcia wynosi 84 hal. a 100% dodatek gminny drugie 84 hal., to dzierżawca akcyzy pobiera od cielęcia podatek w tej wysokości jak od wołu, t. j. 10 kor. 80 hal., no i drugie tyle 100% dodatek (Są to kwoty podane w przybliżeniu, różnica może wynosić tylko kilka halerzy).

Dalej zobowiązują się rzeźnicy sprzedawać wszystkie skóry z bitych zwierząt dzierżawcy.

Zato dzierżawca nie daje rzeźnikom nic, tylko ich nibyto nie sekuje.

Zdarza się czasami, że rzeźnik stawia czoło dzierżawcy i nie chce się godzić, tylko chce płacić wedle taryfy.

Szykany dzierżawców.

Rozpoczyna się wojna, z której dzierżawca wychodzi zawsze zwycięzcą. Rzeźnik przed zabiciem bydlęcia, a nawet przed wprowadzeniem tegoż do stajni rzeźni, jest obowiązany naprzód o tem na 12 godzin donieść dzierżawcy. Łatwo to powiedzić, ale trudnej wykonać, bo interes rzeźnika wymaga przeważnie, aby bydle kupione zaraz zabił.

To też w obecności dzierżawcy, który stale w rzeźni przesiaduje, bije bydlę no i chce mu płacić podatek.

Ale teraz dzierżawca pieniędzy nie chce przyjąć, mięso konfiskuje i sprzedaje na licytacyi, albo też mu rzeźnik, który był obowiązany na 12 godzin rzeź meldować, a tego nie zrobił, zapłaci **5-krotny** podatek i dodatek tytułem kary, to mu mięso zwróci.

A później dzierżawca korzysta z prawa kontroli, i gdy największy ruch w jatce opornego rzeźnika, wchodzi na rewizyę, przeważa wszystko mięso także z lodowni, no bo on ma przecież prawo kontroli, a że rzeźnika „ma w podejrzeniu", więc go kontroluje — w rzeczywistości jest to sekatura, która rzeźnika rujnuje bezpośrednio a pośrednio w swych skutkach **podnosi kilkakrotnie należytość podatkową i wywołuje drożyznę mięsa!**

Ale na tem jeszcze nie koniec.

Dzierżawca akcyzy tak od wina jak też od mięsa, kontroluje wszystkie sklepy, sklepiki, kramy, kółka rolnicze i tutaj pobiera znowu podatek od wina jakoteż od wędlin, mimo, że ten podatek już raz był zapłacony u innego przedsiębiorcy. Robi to zwykle w drodze ugody.

„Dajcie mi rocznie 50 koron i będziecie mieć spokój!" mówi.

Ale za co? Przecież, jeżeli się wędliny bierze do sklepu w ilości niżej 25 klg., to są wolne od opłaty! Tak, ale trzeba na 12 godzin przed sprowadzeniem meldować dzierżawcy, zresztą pan dzierżawca bierze sobie asystencyę np. wójta, policyę, żandarmeryę lub straż skarbową i robi rewizyę w sklepiku, oraz w prywatnem mieszkaniu jeśli się łączy ze sklepem drzwiami.

Jeżeli zaś dzierżawca popełni nadużycie (co ciągle robi), to niema na to żadnego przepisu, aby go karać, bo on wchodzi przecież w prawa władzy skarbowej I-ej instancyi, a trudno przypuścić, aby dla dyrekcyi była wyznaczona kara i żeby dyrekcya skarbowa wyposażając dzierżawcę w swe prawa, zagroziła mu karami za nadużycie — takie rzeczy w Austryi nie są przecież praktykowane.

Podatek od mięsa i wina wydzierżawia się na trzy lata z tym warunkiem, że jeżeli 3 miesiące przed upływem pierwszego roku, dzierżawca nie wymówi dzierżawy, to musi przez dalsze 2 lata akcyzę dzierżawić.

Na nowy rok odbiera się z asystencyą zapasy podatkowi podległego mięsa i wina. Ustępujący dzierżawca ma zwrócić podatek pobrany wedle taryfy.

Ale on chociaż brał podatek wedle taryfy, to miał równocześnie z rzeźnikiem ugodę, co do ilości sztuk itp. (właściwie pozór ugody), z tego już wynika, że od znalezionych zapasów nie zwraca ustępujący dzierżawca wstępującemu przypadającej od znalezionego zapasu należytości akcyzy (którą w rzeczywistości od rzeźnika pobrał), lecz musi czy to rzeźnik, czy to handlarz wina powtórnie tę należytość wstępującemu dzierżawcy zapłacić, poczem

odbija to na konsumencie!

Bardzo liczne skargi wnoszone w tych sprawach, przydzielane są do załatwienia komisarzom straży skarbowej, do ugodowego załatwienia, lub przeprowadzenia śledztwa.

Komisarze straży skarbowej mając bardzo szeroki zakres działalności, muszą w tym wypadku wyręczać także urzędników konceptowych, a że zwykle są przeciążeni pracą, więc starają się sprawę „ubić" tak, aby był akt załatwiony.

Śledztwa takie leżą miesiącami, a nawet latami po nadzorach straży skarb. i nabierają „amtskraftu". Rzeźnik nie mogąc się doczekać załatwienia swej sprawy, szuka ugody z dzierżawcą, płaci mu, co on sam chce i podwyższa cenę mięsa.

(Dokończenie nastąpi).

Mleczarnie współdzielcze w Danii.

W ostatnich trzydziestu latach zaszły w Danii na polu gospodarczem wielkie zmiany. Również na polu uzyskiwania i zużytkowania mleka wytyczono nowe drogi. Tam, gdzie dawniej każdy osobno robił dla siebie masło, tam oddawna istnieje mleczania „współdzielcza. Pracę ręczną zastąpiła praca maszyn współdzielczych, a przez to wzrósł zysk gospodarczy. Kontrola współdzielcza zapewnia czystość i jakość produktu o wiele więcej niż przedtem.

W starannie oczyszczonych beczułkach dostaje się mleko do mleczarni. W miłych budynkach znajdują się nowoczesne urządzenia maszynowe. Centryfugi, przyrządy do pasteryzowania, maszyny do wyrobu masła i sera umożliwiają daleko racyonalniejszy sposób pracy, aniżeli za czasów pracy ręcznej.

Sumienne czyszczenie maszyn, uważanie pracujących na największą czystość, dają pod względem hygieny dostateczną gwarancyę dla dobroci sporządzonego produktu, dają duńskiemu masłu tę sławę, jakiej słusznie zażywa. Jeżeli będziemy badać przyczyny, jakie powołały do życia współdzielczą produkcyę mleka, jeżeli zapytamy się, jak przyszło w Danii do urządzenia współdzielczych mleczarń, to otrzymamy odpowiedź, że niedostateczne i nierównomierne rezultaty małej produkcyi popchnęły drobnych gospodarzy do zastosowania zasady współdzielczności.

Pierwszą mleczarnię współdzielczą założyli chłopi w Hjedding w Oelgod już w roku 1882. Najprzód miało być wyrabiane masło. Mleko, z którego zebrano śmietanę i maślanka wracały z powrotem do członków stowarzyszenia współdzielczego, dając im przez to doskonałą paszę dla świń.

Rozszerzenie się idei współdzielczości na polu mleczarstwa napotkało z początku na

wielkie trudności. Dzisiaj zaś coraz to więcej chłopów przystępuje do stowarzyszenia współdzielczego. Tak więc dostawcy mleka stają się zarazem właścicielami mleczarni. Uzyskany zysk pozostaje przy członkach.

W duńskich mleczarniach współdzielczych przeważają chłopi małorolni. 40 procent wszystkich stajń dla krów w Danii ma jedną do trzech sztuk bydła, 60 procent niżej dziewięciu sztuk. Ogółem liczba dojnych krów w Danii wynosi blizko 1,282.300, z tego mleko od 900.000 krów idzie do mleczarń współdzielczych. Z całego stanu krów kraju przypada 83 proc. na gospodarstwa należące do mleczarń współdzielczych. Jeżeli policzymy mleczarnie zbiorowe, to 92 proc. wszystkich w Danii krów utrzymują gospodarstwa, należące do mleczarń współdzielczych lub zbiorowych. Kapitał, złożony w mleczarniach współdzielczych, obliczony podług stanu ubezpieczenia od ognia, wynosił w r. 1910 okrągło 29.849 koron na mleczarnię.

90 procent wszystkich produktów, wytworzonych w mleczarniach współdzielczych, idą do Anglii, gdzie dobrym ich odbiorcą jest szczególnie angielskie towarzystwo hurtownego zakupu.

Naturalnie, aby produkta duńskich mleczarń współdzielczych mogły zdobyć rynek światowy, potrzeba było wielkich i ciągłych postępów w jakości a także w ilości. Pod tym względem stowarzyszenie mleczarskie przez zachętę, pouczanie i techniczne poprawki w produkcyi zdziałały niesłychanie dużo. Związki Kontrolne, istniejące od roku 1895 przez swoich urzędników kontrolowały dwa razy w miesiącu gospodarstwa, będące członkami, i badały próby mleka szczególnie co do ich zawartości tłuszczu, przez co jakość duńskich produktów mlecznych ogromnie wzrosła. Zachęty do poprawiania sposobu karmienia i do usuwania niestosownych zwierząt, sprowadziły bezpośrednie podniesienie się zdolności świadczenia odnosnych mleczarń.

Podczas gdy 1029 stowarzyszeń mleczarskich z 150.000 członków w roku 1900 miały obrotu na 113 milionów, to w r. 1910 obrót 1163 stowarzyszeń mleczarskich z 165.000 członków wynosił 175 milionów koron.

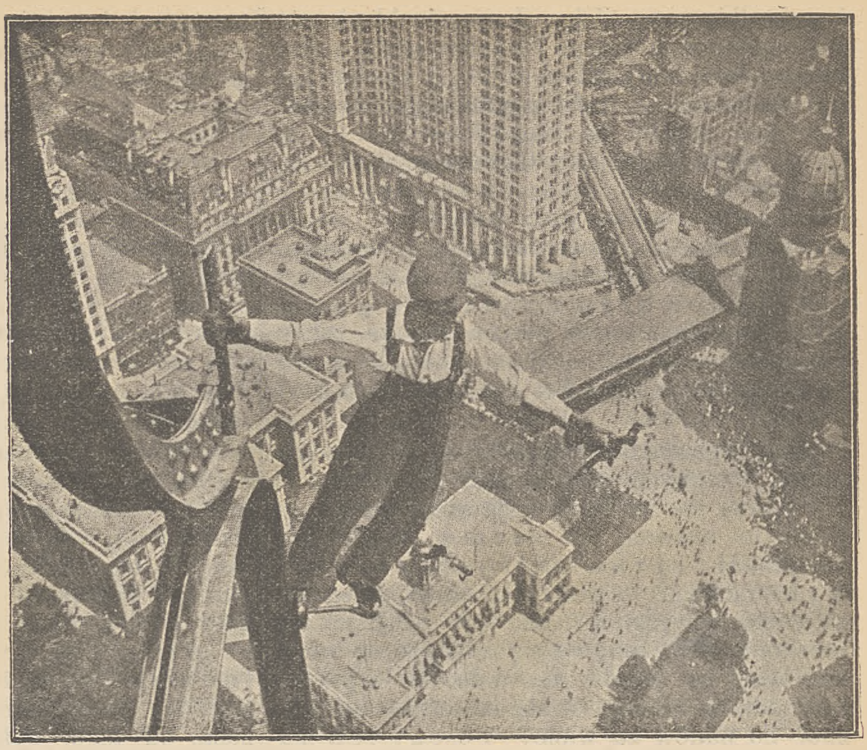
Oto potęga współdzielczości! A te tak wspaniałe, imponujące rezultaty osiągnęły stowarzyszenia mleczarskie mimo, że w Danii niema ceł, mimo, że ani od rządu, ani wogóle od nikogo nie otrzymują żadnej subwencyi.

Malutka Dania zrozumiała doskonale potęgę skupiania się, pojęła ogromne znaczenie idei współdzielczości. Podziwiać ją ale i naśladować nam ją należy. Bo li tylko od nas samych zależy podobny dobrobyt, jaki panuje w niepokaźnej ale mądrej Danii.

Wizerunek ks. Żaby.

Kilka słów na pożegnanie oraz parafianom w Sieprawiu pod uwagę.

W dniu 30 sierpnia opuścił progi parafii Biskupice (pow. Wieliczka), znany czytelnikom „Prawa Ludu“ ks. Żaba, a został przeniesiony do Sieprawia. Był to ksiądz bardzo zły i gorszący tutejszych parafian, którzy jednakże znosili wszystkie jego wybryki i ustępowali mu we wszystkiem. Ludność bowiem w parafii Biskupice jest bardzo łagodna, cierpliwa i szczodra, o czem świadczą dobre chęci upiększenia kościoła. W niedługim bowiem czasie własnym kosztem wystawiono wspaniałą wieżę, odnowiono kościół wewnątrz i zewnątrz, wymurowano mur około kościoła, sprawiono nowe organy i wiele innych ozdobnych rzeczy do kościoła. Był więc porządek i spokój w parafii do r. 1908, albowiem od poprzednich księży mieli parafianie dobre słowo. Od czasu dopiero, gdy nastał do tutejszej parafii ks. Żaba, zrobił się zupełny przewrót i niezadowolenie zapanowało z postępowania tegoż księdza, który chrzcił dzieci imionami wbrew woli ojców po własnej woli, odpędzał ludzi od spowiedzi jawnie bez rozgrzeszenia, bił dzieci w szkole i przy spowiedzi, przy odprawianiu mszy św. odwracał się od ołtarza i do przychodzących do kościoła ludzi wołał: „ty krowo, niedźwiedziu“ i t. p., obciągał z ostatniego grosza biednych ludzi i wyniszczonym wydatkami na powyżej wymienione rzeczy, podwoił opłaty kościelne tak, że ludność narażona była na niesłychane zdzierstwo, w czasie kazań używał słów jak najbrudniejszych na swych parafian, procesował się z ludźmi i t. d. i t. d.



Robotnik montuje żelazne trawersy na szczycie „drapaczy“.

Stosunki więc między parafianami a ks. Żabą zostały tak naprężone, że znaczna część parafian zmuszona była udać się w deputacyi do ks. biskupa Sapiehy prosić o usunięcie tegoż księdza z parafii. Został wprawdzie usunięty, za co jesteśmy ks. biskupowi wdzięczni, ale przykłady, jakie parafianom zostawił, nie prędko wygasną. Chrystus bowiem nauczał: kochaj bliźniego jak siebie samego, a on ani tak bliźniego nie kochał, jak swojego psa. Chrystus powiedział: miłujcie bliźnich waszych, a czyńcie dobrze tym, którzy was nienawidzą, a on czynił dobrze tylko F. Kurzawie za to, że mu bajki donosił i do sądu na termina go woził. Nie sądźcie, a nie będziecie sądzeni — Chrystus mówił — a on sądził nie tylko żyjących ale i umarłych. Chrystus kazał kochać bliźniego, a nawet wroga, a on całkiem przeciwnie to robił, bo bliźniego nienawidził, mścił się na nim, tępił go kłamstwem i oszczerstwem. Gdy mu szło o to, aby uchronić przywileje i bogactwa, wówczas mówił o Bogu, gdy zaś szło mu o prawo uciśnionych, wówczas mówił o piekle i szatańskich chuciach. Wierzył w Boga, aby bronić mamony, a wierzył w szatana, aby nim straszyć biednych. Istotą jego było nadużywanie religii dla dopięcia celów, nie mających z religią nic wspólnego, nierozerwalną towarzyszką jego była obłuda, przybrana w słowa chrześcijańskiego miłosierdzia. Chrystus powiedział: moje królestwo nie jest z tego świata, a on zupełnie przeciwnie dążył do tego wszystkiemi godziwymi i niegodziwymi środkami do uzyskania władzy i pieniędzy na ziemi. Chrystus gromił bogaczy, a bronił biednych, a on zawsze stał po stronie tych, co mu dużo dawali, a jeżeli się zajmował biednymi to tylko w tym celu, aby ich obałamucić i utrzymać w ciemności.

Aby się choć w Sieprawiu upamiętał i poprawił. Parafianie w Sieprawiu w kaszę sobie pluć nie dadzą i wymustrują dobrze ks. Żabę, że nie odważy się on w Sieprawiu na rzeczy, jakie wyrabiał w Biskupicach.

Czerwony parafianin.

Gdzie iść nam chłopom?

Skoro człek przyjdzie teraz do czytelni ludowej przeczytać gazetki, bo u nas mamy wszystkie, to się jeno w głowie mąci. Czytasz i czytasz, i nijak wyrozumieć niejeden nie może, kto sprawiedliwie mówi, a kto łże. I nieraz, jak chłopi, to i tamto przeczytają, tak se siędą i zamyślą się — aż któryś powie: et, ściórnasci, syćko widno- oczajdusze! Bo czy przeczytasz „Przyjaciela ludu“, czy „Wieńca i pszczółkę“, lebo „Ojczyznę“, każdy obiecuje chłopu złote góry. — Obiecuje? — Hale nie sztukać, to obiecywać. Każdy głupiec to potrafi. Ale czy robi?

Otóż o tem chciałem pomyśleć. Bo nam chłopom trzeba oczy otworzyć szeroko i patrzeć dobrze. My mamy „wiele do zyskania, ale nic nie możemy tracić“, jak mówi brat Miętus z „Przyjaciela ludu“. Dlatego, jak on mówi: „uważajmy, co jest naprawdę radykalne, a co tylko udaje, że chłopu rade!“ Jeno, że brat Miętus skończył swój artykuł zawołaniem: „Niech żyje P. S. L.“, a ja wam mówię, że o tem właśnie nam pomyśleć dobrze, bo nie wiemy czy polskie stronnictwo ludowe zaprowadzi nas do wyzwolenia, czy może na „pańskie podwórko“. Dyć tu o naszą skórę chodzi. Czy damy nią handlować? A jeżeli P. S. L. jeno nią handluje?

My mamy jeden interes a to, żeby raz nareszcie chłopu było dobrze. Możemy tedy iść tylko taką drogą, która nas poprowadzi do onego dobra. A jeżeli nam co zawadza, to niech se to będzie Stapiński, niech sam dyabeł nawet, my go mamy usunąć. Kto jest bowiem najważniejszy w tej robocie? — Chłop! — A co celem roboty? — Dola chłopska! Więc myślmy poczciwie i róbmy dobrze, żeby nie dać siebie ukrzywdzić. Popatrzmy się tedy na naszych wrogów. Mamy ich dwóch głównych na wsi a to: pana we dworze i księdza na plebanii.

Pan we dworze, to król mały na zameczku. Co on daje dla społeczeństwa? — Nic! — Bo chyba nikt mądry nie nazwie robotą tego, że tam niektóry oficerkiem zostanie, by się po kawiarniach rozbijać, albo, że majątek w karty przegra i na rozpustę straci. A co on ma za tę robotę? — Hej, nie spisałby tego i na wołowej skórze. Najpierw prawie nic nie daje na szkołę. Potem on plebana ustanawia. On ma obszar dworski

i wszystkie przywileje. Jemu się kłania starosta, jemu ksiądz, jego fornalom chłop opłaca nauczyciela, żeby dzieci uczył. A niechno fornal zachoruje — a do szpitala go wezmą? Czy pan zapłaci za niego? — Nie! — Ty gmino płać! Poznajemy teraz w sejmie owego przyjaciela. Kto nie chce dopuścić chłopa do równych praw? — do równego, tajnego, powszechnego i bezpośredniego prawa głosowania? Pan ze dworu! — Kto chce petryfikacyi, a więc żeby przywileje miał raz na zawsze zabezpieczone? — Pan! — Kto nie chce połączenia obszarów dworskich z gminami? — Pan!

Pisze wprawdzie Stapiński w „Przyjacielu ludu", że onych panów jest już mało i że nie potrza się ich bać. A ja wam mówię, że jeżeli to prawda, to czemu sejm nie uchwali sprawiedliwej reformy wyborczej? — Stapiński mówi, że jeszcze za wiele jest panów? Jak to? — To jak się rozchodzi o to, żeby wojnę robić, to się mówi: nie trza, bo panów za mało. — A jak się rozchodzi o robotę, to się mówi: — nie można, bo panów za wiele? To czy ich naprawdę jest za mało — czy za wiele? — Ej, Jasiu, ty kręcisz, a to wiesz, nie ładnie.

Ale my chłopy wiemy, co myśleć o rzeczy, bo jest jeszcze w gminie ksiądz pleban, co musi dbać o dwór, boć to kolator przecież. A probostwo chyba też miłe.

Zaczął był z wiesna „Przyjaciel ludu" wojnę z panami i z księżmi, ale wielki Stapiński przytłumił oną wojnę, bo powiedział, że jest gorszy wróg od pana i księdza, a to żyd i biurokrata. A to naprawdę wszyscy są wrogami, a każdy na swój sposób.

Nam zasię wojować nie z jednym wrogiem, a drugiego poniechać, jeno ze wszystkimi się bić. Dyć na wojnie nie strzelają tylko do jednego pułku, ale do wszystkich. Bo inaczej owe inne z bokuby zaszły i sprały galanto człeka. To też iść nam chłopom tylko tam, gdzie ludzie mają odwagę bić się na wsze strony.

A ja wam mówię, że ja jednego jeno widzę sprawiedliwego przyjaciela biedaków, a jest nim każdy socyalista! Dyć słyszycie, że na socyalistów szczeka i pan i ksiądz i biurokrata i każdy, coby ludzką pracą żył, psim swędem się wykręcał, a rządzić chciał wszystkimi. Z tego widno najlepiej, kto nam rad. Dlatego **jak jeden mąż chodźmy do socyalistów** i popierajmy ich za to, że tak ciągiem i bez wytchnienia bronią ludzisków. A że ich księża klną, to się śmiejmy, boć ksiądz od tego, żeby klął, my zasię od tego, byśmy rozum mieli. Razem tedy jak jeden mąż stawajmy do pracy. Żebraniem nic nie zyskamy. Tylko wojna i praca postawi nas na nogi. Więc precz z oczajduszami, niech żyją prawdziwi opiekunowie ludu **socyaliści!**

Piotr Trzaska
chłop-socyalista.

Co sądzą socyaliści o emigracyi?

Przy końcu marca 1912 r. obradowała ankieta w sprawie emigracyi zwołana do Wiednia przez ministerstwo handlu. 69 ekspertów zjawiło się na ankiecie i wypowiedziało swoje poglądy tak na stosunki emigracyjne jak i na środki, zmierzające do uregulowania tego ważnego zjawiska społecznego dla dobra szerokich warstw ludowych.

W ankiecie wziął udział także tow. poseł Daszyński, którego obszerne wywody podajemy tu w streszczeniu wedle urzędowego protokołu ankiety.

Przewodniczący radca ministeryalny dr Henryk Kautzky wita zgromadzonych i udziela głosu posłowi Daszyńskiemu.

Poseł Daszyński:

Wychodztwo jest dla pewnych prowincyi państwa jednem z najważniejszych socyalnych zjawisk ostatnich dziesięcioleci, których ważność bardzo długo zapoznawano a dopiero w ostatnich czasach wszystkie czynniki poczęły mu poświęcać baczniejszą uwagę. Chcę tylko przytoczyć, że Galicya w ostatniem dziesięcioleciu 1900 do 1910 straciła wskutek wychodztwa nie mniej jak pół miliona ludzi: przy ośmiu milionach ludzi stanowi to ogromny procent. Ale oprócz stałego wychodztwa z ojczyzny mamy jeszcze drugie zjawisko, t. zw. wychodztwo sezonowe. Wielkość wychodztwa sezonowego wzrasta z każdym rokiem, dzisiaj wynosi ono 250 do 300.000 głów. To jest zjawiskiem naturalnem. Pod pewnym względem musimy je powitać, ponieważ w kraju rolniczym z zacofanem rolnictwem i przy wzroście ludności, przewyższającym przeciętną miarę Austryi, mamy w kraju 1,200.000 zbytecznych rąk. Gdyby zachodnia Austrya była mądrze zorganizowaną przemysłowo i rolniczo, to ten milion rąk, będących nieczynnemi przez całą zimę lub nawet dłużej, stałby się źródłem życia i rozwoju dla zachodniej Austryi. Niestety zachodnia Austrya nie potrafiła ten skarb energii w jakikolwiek sposób obrócić na swoją korzyść; ale za to uczynił to niemiecki przemysł i niemieckie rolnictwo, które przez swoich agentów dostają setki tysięcy pracowitych ludzi, których wychowanie nic nie kosztowało. My płacimy koszta, my dostarczamy gotowych dorosłych robotników dla obcego, konkurencyą swoją zabijającego nas przemysłu. To zjawisko musimy uważać za jedno z najważniejszych i byłby już najwyższy czas, aby zajął się tem rząd i ciała ustawodawcze.

Pierwsze pytanie, czy wychodztwo zamorskie i kontynentalne europejskie należy uregulować jedną i tą samą ustawą, jest jednem z najważniejszych.

Jestem za uregulowaniem jedną i tą samą ustawą. Rozmiar wychodztwa zamorskiego jest przecież mniejszym niż wychodztwa sezonowego i po ustawie, regulującej wychodztwo sezonowe, spodziewam się więcej niż po ustawie regulującej wychodztwo zamorskie. Jestem przekonany, że np. Hamburg, Brema, Nowy Jork i Boston leżą dla oficyalnego austryackiego świata o wiele dalej niż dla galicyjskiego analfabety. Rozchodzi się tu o wielki kapitał, który prawie cały trzyma pod kontrolą w swojej ręce wszystkie dotyczące porty. Na czele stoi Linia Hamburg-Ameryka z Ballinem i oczywiście także Lloyd bremeński. Jedyną konkurencyę dla nich stanowi „Cunard" i inne linie angielskie, lecz i te nie mogą w Antwerpii za bardzo konkurować z kapitałem linii Hamburg-Ameryka, gdyż są zależne. Nawet nasza Austro-Americana dostała sie pod kontrolę linii Hamburg-Ameryka. Idzie to tak daleko, że nasi wychodźcy są zmuszeni płacić formalny haracz, że galicyjski wychodźca jest prawie zupełnie pozbawiony wolności ruchu, wolności wyboru linii kolejowej. Jeżeli nie ma karty okrętowej z Hamburga lub Bremy, to się go poprostu zmusza do wzięcia takowej, a gdy tego nie zrobi, odstawia się go do granicy. To spotyka nawet przemysłowych, ukwalifikowanych robotników. Hamburg-Ameryka i Lloyd bremeński nie robią naturalnie same tych pięknych rzeczy, tylko ten brudny wyzysk, to gwałcenie wychodźców załatwiają rozmaite biura wychodźcze, z pomiędzy których najbardziej znaną firmą jest Missler z Bremy.

Następnie kontrola podczas jazdy przez ocean nie może być w danych stosunkach wystarczającą. Domy dla wychodźców, zbudowane pod naciskiem opinii publicznej w europejskich stacyach wychodźczych, mogą być bardzo ładne, czyste i obszerne. Lecz nie są one takimi, gdy sezon osiągnie swój kulminacyjny punkt. Wtedy wychodźcy spią nie tylko na łóżkach i pryczach, lecz także pod pryczami na podłodze, na korytarzach, nawet na podwórzu pod gołem niebem, gdy jest piękna pogoda. Również kontrola na samych okrętach jest bardzo trudna. Upłynie jeszcze dużo czasu, zanim dojdziemy do tego, abyśmy mogli naprawdę kontrolować przejazd przez ocean, do czegośmy dążyć powinni

Na lądzie amerykańskim musi się najprzód przełamać jedną baryerę: urząd imigracyjny w Ellis-Island w Nowym Jorku. Tu już musimy bezwarunkowo kierować się uczuciami ludzkości i przeszkodzić, aby z ludźmi naszymi obchodzono się tak, jak teraz, że rozłącza się rodziny, wraca się ludzi, którzy mieli prawo do spodziewania się, że zostaną wpuszczeni. Skargi wychodźców na urząd w Ellis-Island są znane. Po przekroczeniu tej baryery znajdują się nasi wychodźcy w Baltimore, Nowym Jorku, Bostonie. Cóż dzieje się dla ich ochrony? Absolutnie nic! Zbudowano domy dla chorych, w których dzieją się straszne rzeczy. Założono towarzystwo św. Józefa i wielki dom dla ochrony wychodźców. Okazało się jednak, że tak przy wikcie, jakoteż przy płaceniu za nocleg regularnie się ich okrada, że założono tam rodzaj bordelu, aż wreszcie amerykański rząd związkowy musiał zrobić koniec i dom ten zamknąć. Dalej jest tam inny związek, o którym słyszałem bardzo dużo niepochlebnych rzeczy. Wydało mi się to bardzo podejrzanem, gdy nagle podczas mojej wielkiej tury po północnej Ameryce otrzymałem od zarządu związku list, w ktorym mnie, człowieka całkiem nieznanego, zaproszono do zjawienia się w tym a w tym dniu na bankiecie, jaki miano urządzić na moją cześć. Wiedziałem o co chodzi, o odzyskanie subwencyi austryackiego rządu. Odpowiedziałem, że niestety nie mogę przyjść na bankiet, ale najlepszym dla mnie bankietem byłyby sprawozdania z czynności związku w ostatnich pięciu latach. Sprawozdań tych naturalnie nie otrzymałem. Również i ten dom został zamkntęty i dopiero po przyjęciu różnych warunków rządu związkowego amerykańskiego ponownie otwarty.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Socyalistyczna Rada gminna.

Do socyalistycznych Rad gminnych w Rakowicach (pow. Kraków) i w Kosocicach (pow. Podgórze) przybyła nowa, a mianowicie Rada gminna w Płokach (pow. Chrzanów).

We wtorek d. 3 b. m. odbyły się tam wybory, które zakończyły się zwycięstwem kandydatów socyalistycznych. Wybrano dziewięciu radnych socyalistycznych, mianowicie:

w III-ciem Kole:
Pawlik Kasper
Henc Antoni
Paliwoda Walenty.

W II-giem Kole:
Uracz Jan
Dura Antoni
Duda Paweł.

W I-szem Kole:
Siemek Wojciech
Uracz Paweł.

W III ciem Kole otrzymali nasi towarzysze na 37 głosujących 36 głosów, w II giem Kole na 24 głosujących 15 głosów.

Zdobyto więc dwa koła oraz 2 mandaty w I-szem Kole tak, że radni socyalistyczni mają większość w Radzie (9 na 12). Wójtem zostanie socyalista. Przykład ten powinien zachęcić inne gminy. Towarzysze, donoście o wyborach gminnych.

Z za kulis klasztoru.

Redakcya nasza otrzymała następujący list, który podajemy w dosłownem jego brzmieniu bez żadnej zmiany:

Wielce Prawdomówna Redakcyo!

Otóż proszę przyjąć moją prośbę i napisać w swojem prawdomównem piśmie moją bolesną sprawę.

Byłam u Sióstr Felicyanek w Krakowie ośm lat jako zakonnica chóru pierwszego. Całe te lata spędziłam następująco:

Próbę zakonną, biały nowicyat, przepędziłam na uczeniu się doskonałości zakonnej t. j. co złe, a co dobre zowie się w naszej wierze. Byłam ogólnie chwaloną za postęp wielki i heroiczną cnotę zakonną. Jednak skorom uczyniła śluby czyli profesyę zakonną, zaangażowano mnie do ciężkiej pracy t. j. do szorowania, pielęgnowania suchotnic, kwest zagranicznych i t. p. Po paru tygodniach profesyi przy szorowaniu suchotniczych cel zakonnych dostałam wybuchu krwi od pyłu z wapna i piasku, powstającego szorowaniem go na suchej podłodze. Odtąd już zdrowia nie odzyskałam do dziś. Prawda, że wezwano lekarza do wybuchu, ale mnie grożono za plecami jego na nosie, abym mu na zapytanie mnie, z czego powstał wybuch nie mówiła, że przy szurowaniu. Ja nie znając się jeszcze na wykrętach świętokradczyń Felicyanek, mówiłam z posłuszeństwa dla mistrzyni, że nie wiem z czego. Lekarz odesłał mnie do Zakopanego dla zdrowia, mówiąc, żem młoda, bodaj się wyleczę, że to tylko dla zdrowej krwi, jaką mój organizm posiada, zerwane płuca mogę jeszcze uratować, jeżeli ze trzy lata nie będę nic pracować, tylko się leczyć. Jednak choć w Zakopanem na kuracyi byłam 3 miesiące, tom nie wyzdrowiała, bo kuracya była taka: Matka Ignacya Karalewicz, przełożona w Zakopanem u chorych, pospraszała najgrubsze mateczki wieczystych ślubów z filialnych domów Galicyi do Zakopanego i tym piekła kurczątka, bifsztyki, gotowała buliony, zaprawiając je żółtkami i t. p. Wszystkim kobietom mającym poziomki, jagody, truskawki, maliny na sprzedaż, zastępowała drogę i kupowała koszami, a mateczki zjadały wszystko na podwieczorek lub w nocy po długich dysputach, jakie co noc prowadziły o członkach zgromadzenia tego, co która robi i taksę kładły jakby na trzodę, na dusze ludzkie.

Bieliznę, którą dano mi z sobą dla choroby, matka Ignacya zabrała z kosza i poobłóczyła łóżka starszym mateczkom dygnitarkom, a mnie dano stary koc wytarty, od początku Zgromadzenia istniejący, pod którym niejedna dziesiątka suchotnic umarła w klasztorze, a który aż twardy był od wymiotów takowych osób za nakrycie, a z grubej trawy zakopiańskiej poduszkę, która przebijała powłóczkę i zakłuła mnie w oko w nocy. A stare łóżko, zapluskwione milionową rodziną takową, dano w kącie za mieszkanie, gdzie wiało w chałupie gazdy Gąsienicy starego tak, że zawiało mi ucho i do dziś przez to na jedno ucho nie słyszę, bo mi pękł bębenek.

Na cały dzień dostawałam garnuszek mleka, zbieranego do kawy dla mateczek, surowego i zimnego, a na obiad i kolacyę pierogi wielkości starego pantofla z prostego ciasta ulepione, w których znajdowało się mięso wygotowane na rosołki dla grubych, tucznych Felicyanek, ponieważ one wieczysto-ślubne musiały odżywiać się lepiej jak chora i ponieważ one zaliczają się do sprawiedliwych. A sprawiedliwym przecie należy się zjadać co najlepsze, grzesznikom co najgorsze, jak uczyły nas te chwalebne matki w swojej teologii. To też przy naprzemian jedzeniu tych pierogów ze sznyclami z takiego samego mięsa, tylko na pół z kartoflami, smarzonych na łoju od bifsztyków dla W. Matek i popijając surowe, zimne mleko, kuracya nie postępowała na lepsze, tylko zamieniła się na katar płuc i kiszek. Potem całe noce szwarwach jak w piekle z czartami nad głową sprawił, że zupełnie „skapsioniałam“.

Zła Ignacya popychała mnie na to i za ramiona szarpała ze złości. Po takiem szarpaniu znów krwią plułam i t. d. Tymczasem mateczki przybywały na ciele aż się trapiły i brały pigułki codziennie, aby schudły. Objeżdżały góry, leżały na werandzie na poduszkach i spijały kefir, wina po cukierkach, pomadkach i tortach lub delikatesach Hawełki, których im dostarczał ks. prałat Krz... od kościoła P. Maryi przez matkę Junipere, która go za to chodziła kąpać!

Kiedym wróciła do Krakowa, byłam **zarośniętą brudem**. Można sobie wyobrazić kobietę, **3 miesiące się nie myjącą** i mającą za koszulę tiunikę z bronzowego koloru, flanelową na ciele samem, ścierki kawałka nie mającą dla swej potrzeby, nietylko **ręcznika lub chusteczki do nosa. Wszy pod pachą gniazdami się w niej roiły** jak również **w habicie**.

A jednak to wszystko trzeba było znosić, bo mateczki wyrzuciłyby chorą na ulicę, jakby się skarżyła. To bowiem nazywa się zuchwalstwem.

Nadto uczyły nas, że potępione są te, któreby odważyły się krytykować postępowanie z młodszemi zakonnicami. To też strzegłam się jak mogłam, myśli o biadaniu nad tem obchodzeniem się ze mną. Myślałam tylko, kiedy mnie śmierć wyzwoli i spodziewałam się wielkiej nagrody za to znoszenie barbarzyńskiego postępowania z chorą.

(Dokończenie nastąpi).

Złodziejskie gniazdo.

Wieliczka rozruszała się w ostatnich czasach nie mało, a powodem tego są nasze notatki, które jasno i niedwuznacznie dały poznać, że my wszystkie świństewka piętnujemy. — Najwięcej jednak czuć poruszenie u funkcyonaryuszy salinarnych, którzy w gorączce obawy, aby i na nich co nie wyszperać, wydają się jeszcze bardziej z różnymi swoimi niezbyt chwalebnymi czynami, które my z całą ochotą zbieramy i do wiadomości szerszej publiczności podać spieszymy.

Zaczniemy od opisywanego już kilkakrotnie maszynisty Widomskiego, który jednej ze swych ofiar, mianowicie robotnikowi Ruppertowi nie daje od pewnego czasu spokoju, tylko ustawicznie nasyła na niego różnych ludzi, którzy ściągają z niego protokóły, mimo, że nie są do tego upoważnieni, a Widomski wciąż namawia go do fałszywych zeznań.

Otóż przypominamy, że Ruppert za wyrobienie posady w salinach zapłacił Widomskiemu 100 koron i to nie bez wiedzy Widomskiego, jak to on twierdzi, ale **wprost na jego wyraźne żądanie,** wyrażone Ruppertowi przez naganiaczy Widomskiego, a mianowicie Skoczylasa i Flachta Wojciecha w ten sposób: ja za nim do lekarza chodziłem, a on ze mnie głupiego robi!

Te słowa zmusiły Rupperta do zaciągnięcia pożyczki i zapłacenia nienasyconemu i głośno się upominającemu wyrabiaczowi posad Widomskiemu.

Pieniądze te zostały Ruppertowi po pojawieniu się naszych notatek zwrócone ze słowami: szkoda, żem tego z żydem nie zrobił, bo żyd by mnie nie zdradził! Nie trzeba chyba więcej, by zrozumieć, czy Widomski wziął pieniądze, czy też Ruppert tylko z grzeczności bez wiedzy Widomskiego pieniądze mu „podsunął“.

I słusznie się Widomski do żydów chce odnosić, bo przecież żydzi z salin żyją, oczywiście kosztem c. k. skarbu. Żydzi są dostawcami materyałów do salin i dostarczają materyałów jaknajgorszych, a p. nadzarządca Winter i magazynier Lachman przyjmują je za dobre.

Oto kilka przykładów: Przed niedawnym czasem wyrzucili robotnicy pod ziemią kilkaset t. zw. „stycli“ niezdatnych do użytku; przed rokiem zrobiona podłoga w domu radcy salinarnego Dietzego została zupełnie przez grzyb zjedzona i obecnie musiano wstawić nową. Węgle drewniane, nie odebrane rano z powodu swej małej wartości, zostały popołudniu tego samego dnia za interwencyą głównego dostawcy Friedmanna, jako zdatne do użytku i dobre, przyjęte. Ba nawet klucze od magazynów salinarnych mają żydzi, a nie funkcyonaryusze salinarni i belki lepsze wędrują do tartaku p. Friedmanna, zaś belki z sękami do tartaku salinarnego.

Wogóle żydzi robią na salinach wspaniałe interesy. Świeżo np. zdarzył się wypadek, że funkcyonaryusz salinarny nie mógł od p. nadradcy Müllera dostać kilka bezpłatnych biletów wstępu do kopalni dla swych krewnych, mimo, że p. nadradca przed każdym zjazdem po kilkaset takich biletów rozdaje. Poszedł tedy ów funkcyonaryusz do żyda i dostał od niego takie bezpłatne bilety, ale musiał mu za nie zapłacić po **2 K**! Ładne stosunki! Nieprawdaż? Pracownik z urzędu salinarnego kupuje bilety salinarne od żyda, który je przecież od kogoś z salin otrzymać musiał i które zaopatrzone były podpisem jednego z najgrubszych w salinach wielickich.

Za to zarząd salinarny robi c. k. skarbowi oszczędności gdzieindziej. I tak: przedtem mogli wozacy zostawać po szychcie na parę godzin w pracy i w ten sposób dorobić na tyle, że mieli zapłacone i dni świąteczne, przez które nie pracowali. Obecnie jest im to wzbronione, a dozwolone tylko t. zw. stojakom, którzy rekrutują się przeważnie z samych lizuniów.

Kiedy na posiedzeniu delegatów Kasy brackiej żądano zrealizowania obligacyi i udzielenia wszystkim robotnikom potrzebującym pożyczek, wówczas radca salinarny Dietze oświadczył, że papiery obecnie spadły, więc na wycofaniu obligacyi Kasa by straciła, a p. Piątek w swojem lizuństwie tak daleko się posunął, że słowa p. Dietzego potwierdził i przeciw wnioskowi głosował, mimo, że do-

brze wie o tem, że Kasa bracka za papiery wartościowe pobiera 3%, a od robotników z pożyczek bierze 6%, więc strata by się wyrównała, a jego biedni koledzy mieliby za co najgorsze długi pospychać, co stałoby się dla nich w obecnym ciężkim na pieniądze czasie poprostu zbawieniem. Niewiadomo zresztą, czy papiery wartościowe w najbliższej przyszłości nie spadną jeszcze więcej.

Lizunie i protegowani, widząc, że równym im wciąż się dobrze dzieje, pozwalają sobie na coraz nowe figle. Sztygar Rzepecki np. nie raczył kiedyś postarać się o to, by winda mogła tylko na jeden poziom zjeżdżać, albo ażeby do tej windy górnicy z dołu nie wsiadali, tylko wsadził górników do jednej klatki i trzymał ich w niej przez 20 minut, wciąż w ruchu pod ziemią, zwożąc przez ten czas drugą klatką gości. Możemy sobie wyobrazić, jak potrafi zdenerwować spracowanego robotnika takie przebywanie przez 20 minut między niebem a przepaścią i to w ustawicznym ruchu raz w górę, to znów w dół. Mimo to, gdy górnicy poszli do komisarza Kordeckiego na skargę, zostali jeszcze zbesztani. Bo i gdzieby p. Kordecki zrobił coś p. Rzepeckiemu, skoro obaj są szwagrami, a p. radca Dietze jest ich krewnym. Nie dziw też, że p. Rzepecki ma tego rodzaju synekury, jak pranie płaszczy i gotowanie obiadów dla urzędników salinarnych. Możeby p. Rzepecki wziął także w swoje przedsiębiorstwo naprawianie worków na sól; nam się zdaje, że nie podejmie się on tego, bo za mało popłatne i dlatego zostawi on to już żonom górników.

Nawet i tacy pajace, jak dozorca salinarny, świeżo z gór przybyły, niejaki Róg, pozwalają sobie na nazywanie swych podwładnych robotników takiemi wyrażeniami, których bez zarumienienia powtórzyć byśmy nie potrafili. Za tę energię też ma on płacę II szematu i — jak się świeżo dowiedzieliśmy — ma wkrótce otrzymać mieszkanie w domku salinarnym, która to łaska innym zasłużonym i starszym robotnikom jest odmówiona.

Zarząd salinarny odgrodził kolonię domów salinarnych płotami i bramami, choć naszem zdaniem, drogi prowadzące przez środek kolonii są drogami publicznemi i urządzenia na tych drogach, jak n. p. wodociągi, są własnością miasta nie zaś salin. Dlatego nie rozumiemy obojętności władz, patrzących przez palce na to nadużycie, nie pozwalające sąsiadom udawać się do bliższych studzien wodociągowych po wodę i narażające ich na to, że muszą iść dalej i po gorszej drodze. Nadmienić musimy, że jakiś drab i naganiacz, który te bramy otwiera, przepuszcza przez nie tych, którzy na eksc. Korytowskiego głosowali.

NOWINY KRAKOWSKIE.

Robotników, którzy w lipcu b. r. odbywali ćwiczenia jako rezerwiści, (przedewszystkiem jako piekarze) przy 16 pułku obrony krajowej w Krakowie, prosimy o zgłoszenie się w naszej redakcyi w niedzielę dnia 15 b. m. o godz. 10 rano w ważnej sprawie. Zamiejscowi, ale tylko piekarze, niech listownie podadzą swój adres.

Gminna reforma wyborcza. Subkomitet komisyi statutej Rady miejskiej odbył we czwartek 5 b. m. pierwsze posiedzenie po feryach.

Z zapowiedzianych projektów przedstawiono 2. Dr Ignacy Landau wniósł projekt, przyjmujący 1) kuryę powszechną, 2) kuryę opodatkowanych z trzema działami.

Dr Rafał Landau zaproponował cztery kurye: 1) kurya inteligencyi, 2) kamieniczników, 3) kupców i przemysłowców, 4) kurya robotnicza (a nie powszechna tj. tylko dla robotników).

Subkomitet wezwał magistrat, aby dostarczył dat dla obu tych projektów, co ma nastąpić do dni 14.

Z KRAJU.

Z Kasy chorych w Żywcu. W swoim czasie donieśliśmy o zdobyciu przez naszych towarzyszy powiatowej Kasy chorych w Żywcu. Po trzechmiesięcznem urzędowaniu zwołał nowy Zarząd delegatów robotników na zgromadzenie, celem przedstawienia im prac dokonanych, poinformowania ich o stanie obecnym Kasy i o zamiarach na przyszłość.

Zebranie odbyte dnia 1 b. m. zagaił tow. Delimata przedstawiając w krótkich słowach stanowisko członków zarządu z grona robotników w obecnym Zarządzie. Po nim zabrał głos tow. Mężyński, kierownik Kasy, który w przeszło godzinnym referacie, przedstawił zebranym gospodarkę starych Zarządów, tudzież komisarza rządowego, poczem przeszedł do spraw bieżących. Wskazując na szybki rozwój instytucyi pod rządami nowego Zarządu, podkreślił, że jedynie pracy towarzyszów można zawdzięczyć, że Kasa chorych żywiecka stała się dla robotników rzeczywiście pomoc niosącą.

Przedstawiwszy w dalszym ciągu projekt zaprowadzenia ubezpieczenia rodzin członków Kasy, przeszedł do omówienia stanowiska pracodawców wobec Kasy i ich występów w Zarządzie.

Z uwagą przysłuchiwali się zebrani wywodom referenta. W dyskusyi prowadzonej w ożywionym tempie poruszono całą masę spraw, przyjmując wkońcu następującą rezolucyę:

Zgromadzeni w dniu 1 września 1912 r. w lokalu p. Zycha w Żywcu delegaci do Kasy chorych z grona robotników, wyrażają członkom Zarządu Kasy z grona robotników zupełne zaufanie i uznanie, za ich pracę w tej instytucyi robotniczej. P. Matlakiewicza, który swem postępowaniem złamał przyrzeczenie dane podczas wyboru, dotyczące zgodnego postępowania w Zarządzie z resztą robotników, ostrzegają przed tego rodzaju postępowaniem na przyszłość, wyrażając mu za jego zdradzanie interesów robotniczych, ubolewanie.

Spotyka p. Matlakiewicza słuszna nagana. Od pewnego czasu bowiem idzie on w Zarządzie ręka w rękę z pracodawcami, których prowadzi sławny Moliński, figura w Żywcu dobrze znana, a o którym pomówimy innym razem dokładniej.

Z nową otuchą rozeszli się delegaci do domów. My ze swej strony życzymy im w ich pracy jak najlepszego powodzenia.

Łapownictwo w salinie wielickiej. Ostatnie korespondencye umieszczone w „Prawie Ludu“, narobiły dużo rumoru i są powodem zmartwień jednostek, a zadowolenia ogółu, który poczuł, że istnieje przecież takie potężne i mocarne stronnictwo, które potrafi nawet wysokich dostojników skarcić i które potrafi stać na straży interesów pracującego ludu.

Padł strach na łotrzyków różnego gatunku, gdy poznali, że lada dzień mogą wyjść na jaw ich macherstwa, a jakkolwiek na razie wykręcają się i zapobiegają katastrofie, to jednak czują to, że musi się teraz skończyć uboczne źródło dochodów.

W zarządzie salinarnym jeszcze przed pojawieniem się ostatniej korespondencyi był przesłuchiwany Skuta, czy istotnie za przyjęcie do salin dał Widomskiemu 800 kor. — rozumie się, że Skuta temu zaprzeczył, bo byłby karany za przekupienie c. k. urzędnika państwowego i z posady zostałby wyrzucony.

Nie można się dziwić nikomu, jeżeli nie mogąc w uczciwy sposób dostać posady, stara się posadę tę sobie kupić, ale doprawdy zdumienie budzi zachowanie się c. k. prokuratoryi państwa, która będąc czujną tam, gdzie chodzi o szykanowanie opozycyjnego pisma konfiskatami, milczy dyskretnie i udaje, że o niczem nie wie, gdy chodzi o pociągnięcie do odpowiedzialności przekupnych funkcyonaryuszy państwowych.

Opowiadają ludzie, że łapownictwo uprawiane tutaj jest od dawien dawna, a uprawiają go właśnie te indywidua, któremi się otoczył tutejszy c. k. nadradca; mówią, że to co pisze „Prawo Ludu“, to nawet setnej części nie ujawnia tego, co się dzieje, co się działo, o czem ludzie przecież wiedzą i mówią.

Przecież i tego czarnego Czecha do maszyny w szybie Elżbiety przyjęto za protekcyą Widomskiego — czyżby brakło pomiędzy tutejszymi polskimi ślusarzami maszynistów, że aż Czecha trzeba było sprowadzać? Tak, ale, to co poradzi Widomski, to jest wszystko dobre. Mamy jednak nadzieję, że c. k. Zarząd salinarny zwróci więcej uwagi na tych farbowanych lisów i postara się co najmniej o odpowiednią izolacyę dla tych tak grubo skompromitowanych ludzi. *Brdy*

Wybory gminne w Drohobyczu. W dniach od 2—6 b. m. odbyły się w Drohobyczu wybory do rady gminnej z III koła. Partya nasza postawiła kandydaturę tow. Zakrzewskiego, który na 2156 wyborców otrzymał 800 głosów. Lista magistracka zwyciężyła 1273 głosami.

Klika magistracka posługiwała się pięścią. Wódz sztabu feuersteinowskiego Steinhauser napadł na wychodzącego z lokalu wyborczego tow. Zakrzewskiego, uderzył go pięścią w brzuch, przyparł do muru i dobył rewolweru. Tow. Z. wyrwał mu się i uciekł na podwórze. Steinhauser pobiegł za nim z ogromnym krzykiem, jak gdyby on był przez tow. Z. obitym. Nadbiegł jednak nadkomisarz starostwa Żukołyński, który również nadbiegłym żandarmom kazał aresztować Steinhausera i odprowadzić do sądu. Przypominamy, że już w r. 1908 Steinhauser, który jest właścicielem domu publicznego, napadł z jakimiś drabami na tow. Z., za co odsiedział karę trzymiesięcznego więzienia. Takimi to środkami walczy i „zwycięża“ klika magistracka.

Bolęcin (Kruki). Ks. F. Szewczyk z wielkim pędem postarał się o gazetkę „Prawo Ludu“, i gdy przyszła niedziela, począł ludowi w kościele z ambony czytać i ogłaszać, że go nieładnie opisano, zarazem publikując tow. Nowaka, Duszę i Jaworka. Nie podobają mu się trzy zdania opisu. Po pierwsze mówi, że przecież nie było tyle czarnych kleszków u niego podczas jubileuszu, co socyaliści piszą, bo tylko dwóch przybyłych, którzy nie klęli tak ciężko w kościele na socyalistów, jeno trochę! Po drugie tłumaczy się, że on nie przymuszał parafian, żeby zbierali u ludzi na sprawunek do kościoła.

Po trzecie zaprzecza, że nikogo nie wypchnął proszącego o spowiedź, zarazem okropnie się szarpie na ten opis.

Wszystko, co było pisane o ks. Szewczyku jest prawdą; na nic więc nie przydadzą się jego zaprzeczenia. Ks. Szewczykowi bardzo się o to rozchodzi, bo szukał ludzi, którzyby mu się podpisali, że lizunie nie chodzili po żebraninie na sprawunek kościelny. W ten spo-

sób chce się też dowiedzieć, kto go opisał. W tej sprawie odwiedzono Stanisława Bąka z Płazy, od którego żądano, żeby się podpisał na świadectwo fałszywe, że lizunie nie chodzili po żebraninie, a co się tyczy spowiedzi, że była mowa ks. Szefczyka zachęcająca nie tylko w zwykłe święta, ale i podczas Misyi, ażeby gdzieindziej chodzić na spowiedź, bo on niema czasu. Są jednak dowody na zarzuty poczynione ks. Sz. Owo sprostowanie, pod które nikt nie chciał dać podpisu, przesłano do redakcyi „Prawa Ludu“, o czem pisaliśmy w poprzednim numerze.

Należy napiętnować bezczelny atak ks. Sz. na tow. Duszę Jana, przewodniczącego, którego wyszydzał, że w nędzy żyje, że się ubiera nędznie; obczerniał go z ambony, ażeby inne owieczki zbałamucone zbrzydziły sobie stronnictwo socyalistyczne.

Ks. F. Szewczykowi nie podoba się, że tow. Dusza Jan nie ma tyle pieniędzy, tyle koni i krów, gruntu i gnoju przed domem i w domu, tyle majątku, co ksiądz. Księdzu to wszystko ludzie znieśli, a tow. Dusza musi ciężko pracować na kęs chleba. Otóż niech mu ksiądz da, a niech go, oraz tow. Nowaka i Jaworka nie publikuje w kościele i nie obmawia, bo już zęby sobie trochę zdarł na tem, a jest taki skąpy, że innych by mu się żal było kupić.

Ks. F. Szewczyk straszy naszych towarzyszy sądem za opis, zarazem chce się dowiedzieć, kto go opisał, bo jeszcze tego nie wie, bo by z pewnością namówił jakich drabów, ażeby naszych towarzyszy obili. Korespondenta tak łatwo ks. Sz. nie znajdzie.

Gospodarka w salinach w Delatynie. Odbywa się tu pobijanie dachu nad magazynami soli. Robotę tę prowadzi przedsiębiorca z Kołomyi niejaki Bar, który ma dać swój materyał, jaki im będzie potrzebny do pobijania dachu. Dozór nad robotnikami przy tych robotach ma niejaki Molenda, murarz, i Tomasz Konarski, pomocnik kancelaryjny z tutejszej saliny. Pomimo tego, że Bar ma dać swój materyał, Tomasz Konarski pełniąc służbę, rozkazał kowalom, by w kuźni zrobili potrzebną ilość śrub ze skarbowego żelaza i na skarbowych szychtach i na korzyść przedsiębiorcy. Za to Konarski otrzymuje po 5 K dziennie od tegoż przedsiębiorcy, a zarząd salinarny patrzy na wszystko przez palce.

Gdy w kuźni wyrabiano śruby dla Bara, przyszedł podurzędnik Gappelerg do kuźni i zobaczył te roboty, spytał się robotników, dla kogo robią się śruby, to robotnicy oświadczyli, że dla przedsiębiorcy Bara do dachu. Gappelerg powiedział do robotników, że on zakazuje dalszych robót, ponieważ ma on magazyn żelazny pod swoją opieką, i o wszystkich żelazach, które wydaje, musi wiedzieć, na jaki wyrób poszło. Wtedy robotnicy oświadczyli, że o tych robotach wie p. radca Zawadzki i komisarz Mackiewicz.

Zapytujemy się dyrekcyi skarbu, czy wie o tem.

Gdy z dniem 1 stycznia 1911 r. zaprowadzono 8-godzinną szychtę w warzelni i ministerstwo skarbu przeznaczyło odpowiedni fundusz na 3 kiry do warzelni, tymczasem trzeciej kiry nie dodano, lecz rozdzielono te dwie kiry na trzy i w ten sposób wyzyskano robotników.

W kopalni zaś rozporządzenie przepisuje, że górnik ma zarobić nad własną szychtę 50% i wyżej, tymczasem w Delatynie zdarzają się wypadki, że górnik traci od 1 do 10%, pan radca i komisarz mówią, że niema pieniędzy na dodatek.

Na zakupno żelaza dla Bara są pieniądze, na niepotrzebne reperacye panwi celem, to podnoszenia do góry, to zaś spuszczania na dół, znajdą się pieniądze, a dla robotników niema.

Sądzimy, że dyrekcya skarbu przecież wglądnie w tę gospodarkę i pouczy pana radcę, jak ma się prowadzić gospodarkę w Salinach.

Czerwony, salinarz.

MAŁY FELIETON.

SCHERMANN.

Pan porucznik rezerwowy.

W kancelaryi czwartej kompanii 125 pułku piechoty w N., małem miasteczku na wschodnim krańcu monarchii, siedział podoficer rachunkowy pierwszej klasy Grzegorz Kopecky (akcent na ostatniej zgłosce), ubrany „kommod“ — była bowiem dopiero szósta godzina rano — i jadł śniadanie, składające się z wielkiego bochenka białego chleba i cienkiej herbatki, zgotowanej na maszynce spirytusowej, silnie zaprawionej rumem. Po „zugach“ i korytarzach panował zwykły poranny, koszarowy hałas, który jednak Kopecky'emu w jego medytacyi wcale nie przerywał. Tak przynajmniej zdawało się po marzycielskim wyrazie jego szarych oczu, które przez otwarte okno patrzyły gdzieś w dal, podczas gdy ich właściciel chlipał herbatę i połykał wielkie kawałki chleba.

Właśnie podniósł „szalkę“ do ust, gdy nagle drzwi się otwarły i na progu stanął oficer w pełnej paradzie.

Grzegorz Kopecky postawił szybko „szalkę“ na stole, zerwał się i uderzając głośno obcasami, stanął w postawie „Habt-Acht“, starając się przytem gorączkowo trzema wyprostowanymi palcami lewej ręki zapiąć trzy dolne guziki od bluzki. Tymczasem jednak oficer przystąpił bliżej i patrz! — na poważnej przed chwilą twarzy Kopecky'ego zaigrał przyjacielski uśmiech.

— *Pan lajtnant in der Reserve Epstein?*— zapytał.

Oficer odpowiedział z łagodnym uśmiechem:

— Tak, to ja jestem, czyście mnie już oczekiwali „

— Naturalnie, panie lajtnant; pan lajtnant mieli dziś przecie narukować.

— Prawda — odpowiedział porucznik w rezerwie i spoglądając na wiszący na ścianie skarbowy zegar, dodał: — Zdaje mi się, iż przyszedłem trochę za wcześnie.

— Nie za dużo wcześnie, panie lajtnant, nie za dużo... Pan kapitan Strapatzik rozkazał, aby raport stał już o siódmej, a pan kapitan widzi to chętnie, jeżeli panowie przychodzą przynajmniej pół godziny przed raportem.

— *A propos*... — jak... co... jakim właściwie jest pan kapitan? — zapytał porucznik rezerwowy Epstein, którego to przedewszystkiem interesowało. Rachunkowy Kopecky uśmiechnął się z melancholijną rezygnacyą.

— Pan kapitan nie jest zły człowiek — odpowiedział. — O nie, tylko trochę nerwowy, trochę złośliwy i trochę tak... tego... pedant... Czy chcą pan lajtnant może przeglądnąć wczorajszy *regiments-* i *bataillons-befehl?* Ja tymczasem, jeżeli oczywiście pan lajtnant pozwolą, dopiję herbatę, inaczej będzie zimna.

— Ależ proszę, proszę — odpowiedział porucznik Epstein z prędkością, bardzo przypominającą cywila. — Ja tymczasem przeczytam rozkazy, nie chcę przeszkadzać.

Zdjął czako, ściągnął rękawiczki i począł skupiać swoją uwagę na *regiments-* i *bataillonsbefehlu.*

Grzegorz Kopecky zwrócił się więc do niedokończonej, rzekomo wyziębniętej herbaty, lecz teraz zamiast patrzeć marzycielsko w dal, zerkał dyskretnie na „narukowanego“ porucznika rezerwowego. Co on sobie przy tem myślał? Zapewne to, co każdy rachunkowy pierwszej klasy myśli sobie o rezerwowym gażyście.

Skończywszy czytać rozkaz regimentowy, który prócz licznych administracyjnych zarządzeń nic w sobie ciekawego nie zawierał, zwrócił się porucznik Epstein do rozkazu batalionowego. Tu zaraz na wstępie było zdanie, które go szczególnie zainteresowało: „Jutro ćwiczą kompanie na ostrowickiej łące“. Dla rezerwowego „lajtnanta“ niema nic wstrętniejszego nad kompanijne ćwiczenia, albowiem w takowych żąda się od niego, jako „Zugskomandanta“ rzeczy wprost niebywałych. Nic też więc dziwnego, że przy czytaniu tych nieprzyjemnych słów przebiegł Epsteina lekki dreszcz, coś nakształt mrówek po plecach. Od ostatniego ćwiczenia przed trzema laty, w którem, nawiasem mówiąc, wcale nie okazał się wojskowym geniuszem, zapomniał prawie wszystko na punkcie „egzercyrki“ i innych przeróżnych regulaminów. A do tego jeszcze kapitan nerwowy, złośliwy i pedancki!

— No, dziękuję, to dopiero będzie! — pomyślał sobie porucznik Epstein, gwiżdżąc przytem gniewnie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ODPOWIEDZI OD REDAKCYI.

Sęk 7. **Leżajsk**, Motykiewicz **Dolina**, pismo wysyłamy regularnie. Nieotrzymany Nr 36, wysyłamy z Nrem 37.

Krz. **Jaworzno**, prosimy nadesłać prenumeratę.

Administracya.

Na fundusz prasowy złożyli: L. D. Wiedeń 5 koron.

KOMUNIKATY.

Dyżury sekcyi kobiet P. P. S. D. odbywają się w Związku stowarzyszeń robotniczych (ul. Filipa 2, II p.), w lokalu bibliotecznym w każdą niedzielę od godz. 12—1.

W Świątnikach górnych odbędzie się w **niedzielę** dnia 15 września o godzinie **3 po południu w domu Władysława Kotarby publiczne zgromadzenie,** na którem **poseł Klemensiewicz** złoży **sprawozdanie** ze swej działalności poselskiej. **Niechaj nikogo na tem zgromadzeniu nie braknie!**

NADESŁANE.

JAK WYLECZYĆ REUMATYZM.

KSIĄŻKA, KTÓRĄ WYSYŁAM BEZPŁATNIE WSKAŻE WAM.

Kilka lat temu cierpiałem bardzo na straszny reumatyzm we wszystkich częściach mego ciała. Lekarze i specjaliści tej chorobie nic pomódz nie mogli i wielu z nich nawet uznali chorobę mą za nieuleczalną. Wtedy próbowałem korzystać ze środków ogłoszonych w gazetach, lecz i z tych również żadnej korzyści nie otrzymałem, tak dalece, iż już prawie straciłem nadzieję wyleczenia się. Lecz przedtem, aby nie oddać się zupełnie rozpaczy, postanowiłem osobiście zbadać tę chorobę i przyczyny jej z nadzieją iż wtedy zdołam zależć środek do leczenia. Po upływie kilkuletniej usilnej pracy zdołałem w końcu wynaleźć środek, który przewyższył wszelkie moje oczekiwania. Co lekarze nie mogli znaleźć dla mnie, sam znalazłem i obecnie jestem zdrów. Poczem zawiadomiłem o odkryciu swem tysiące cierpiących na tę chorobę i oni również teraz wyleczeni zostali.



Z powodu aby wszyscy cierpiący na reumatyzm lub podagrę wiedzieli jak można wyleczyć się z tej choroby, wydałem książkę, w której bardzo wyraźnie opisałem jak można w zupełności wytępić nieprzyjaciela tego z organizmu. Z wielką chęcią gotów jestem wysłać zupełnie bezpłatnie jeden egzemplarz tej ilustrowanej książki każdemu cierpiącemu na reumatyzm lub podagrę. W książce tej wskazane jak łatwo i prędko można u siebie w domu wyleczyć tę chorobę. Nie odkładajcie na chwilę, lecz niezwłocznie napiszcie aby wysłano Wam książkę tę. Napiszcie swe imię, nazwisko i pełny adres na 10 hal. kartce korespondencyjnej i odeślijcie pod następującym adresem: M. E. Trayser, Nr. 161 Bangor House, Shoe Lane. London E. C. England.

Odpowiedzialny redaktor: Zygmunt Klemensiewicz.

Z Drukarni Ludowej w Krakowie, Filipa 11.